

Ojciec dziewczynki był nauczycielem muzyki w szkole, prowadził też w Domu Kultury regionalny zespół muzyczny „Tony znad Baryczy”. Umiał grać na instrumentach smyczkowych, najchętniej sięgał po wiołę. Kiedy rodzina powiększyła się o trzecie dziecko, postanowił dać mu na imię Wiola. Dziewczynka była młodsza od brata, Feliksa, o trzy lata i aż o siedem od siostry, Lilli. No, prawie o siedem. Nic dziwnego, że Wiola z rodzeństwem widywała się rzadko, jedynie przy niektórych posiłkach podczas rodzinnych uroczystości oraz odwiedzin u dziadków. Lubiła chodzić swymi ścieżkami.

Wyróżniały ją bardzo jasne włosy. Dlatego nim zaczęła poprawnie mówić, już występowała w jasełkach w roli aniołka. Kiedy uporała się z pierwszymi trudniejszymi słowami, dostała króciutki tekścik do zapamiętania, ale już w następnym roku rozrósł się on do kilku zdań, w tym do jednego złożonego. Ponieważ głos jej brzmiał ciepło, chętnie przydzielano jej coraz dłuższe wypowiedzi. W końcu stała się bardzo gadatliwym aniołem, nieraz uciążliwym dla rówieśników nie mających ochoty liczyć się z jej niebiańskim pochodzeniem, choćby jej nieznośne zachowanie ograniczało się tylko do sceny.

Twarzyczkę miała okrągłą, z wyrazistymi ustami, które – z uwagi na brak w uzębieniu dolnej lewej trójki – często osłaniała dłonią. Nosek był tak niewielki, że w żadną z dziurek nie dało się wsunąć nawet jej najmniejszego paluszka. Tak więc w przeciwieństwie do koleżanek i kolegów nigdy nie słyszała: „Wyciągnij palec z nosa!”. Nie czuła się z tego powodu pokrzywdzona, jednak to dostrzegalne wyróżnienie wśród rówieśników wcale nie czyniło dziewczynki szczęśliwszą, tym bardziej że dość niechętnie ulegała nadmiernie przedłużającej się opiece mamy, która mimo protestów córki od czasu do czasu czyściła jej nosek patyczkiem higienicznym.

Kolor jej oczu pasował do imienia. Przypominał fiołki.

Dość wątle ciało dźwigały chude nóżki o niewielkich stopach, na które trudno było w sklepie znaleźć odpowiednie sandałki. Nic dziwnego, że podczas dłuższych spacerów, najchętniej zostałaaby prawdziwym aniołkiem wspomaganym skrzydłami.

Mieszkała z rodzicami w pobliżu parku, gdzie nad rzeką, stanowiącą naturalną granicę między Śląskiem a Wielkopolską, stało kiedyś zamczysko, po którym została ruina. Zamek strzegł brodu. Nieco dalej od ruin ciągnęły się zabudowania pałacowe, oddane w użytkowanie leśnikom i młodzieży przygotowującej się w technikum do pracy w borach. Droga do parku była bardzo uczęszczana przez uczniów, nauczycieli

oraz Maćka, prowadzącego konia Humorka z małą rehabilitantką na nim. Chłopak prowadził konika, trzymając wodze w lewej ręce. Dla kogoś innego byłoby to niewygodne, lecz nie dla niego. Zimą złamał sobie prawą rękę. Odtąd nawet po jej wyleczeniu, jak tylko mógł, to ją oszczędzał. Wiola lubiła patrzeć, jak stara się robić wszystko lewą ręką. To było dowodem na coś, czego nie potrafiła nazwać. W każdym razie, jej się podobało.

Trzymał więc lejce w lewej ręce i spokojnym głosem pouczał, co powinno robić dziecko w siodle, a więc jak trzymać główkę, rączki, kiedy ma pochylić się do przodu, a kiedy do tyłu.

— Kasiu, patrz przed siebie, tylko przed siebie. Nie wolno ci Roz... glądać się na boki — ostrzegał, lekko się jękając.

— Ale ja muszę też zobaczyć, co jest po prawej stronie i po lewej — upierała się Kasia.

— Chcesz być zdrowa, to mnie słu... chaj — radził.

— A jak ja pragnę zobaczyć to, co jest po prawej stronie, a potem po lewej, to ty mnie słuchaj i tak prowadź Humorka, bym widziała — obstawała przy swoim uparta Kasia.

— Ani po jednej, ani po drugiej stro... nie nie ma nic ciekawego — zapewniał Maciek.

— Może dla ciebie, ale ja zamierzam na własne oczy przekonać się, co tam jest.

Droga do parku była więc bezpieczna i rodzice pozwalali Wioli w długie szkolne wakacje chodzić nią bez opieki dorosłych. Chętnie z tego prawa korzystała, tym skwapliwiej, że ani Feliks, ani Lilla nigdy nie mieli ochoty poruszać się ścieżkami wybieranymi przez ich młodszą siostrę.

Maciek lubił dzieci. Nie tylko te chore, które woził na Humorku. Zdrowe też. Dlatego pozwalał Wioli dreptać obok, a nawet miał wystarczająco dużo cierpliwości, by słuchać gadatliwego aniołka, zawsze mającego wiele do powiedzenia na temat tego, co dzieje się nie tylko w niebie, ale przede wszystkim na Ziemi.

Zmęczona zatrzymała się przy ruinach zamczyska.

— Na razie — powiedziała do Maćka.

Odpowiedział jej takimi samymi słowami i dalej poprowadził Humorka w stronę grobli nad Baryczą.

Wiola siadła na ławeczce pod konarami dębu. Na pewno pamiętał czasy, gdy zamek nie był jeszcze ruiną, ale tętnił życiem. Wyobrażała sobie, jak na jego dziedzińcu rycerze dosiadali koni, a z okien przyglądały się im damy.

Nigdy nie zdążyła zobaczyć odjeżdżających wojów, bo zawsze ktoś przeszkodził jej w tym. Nie tylko ona wybierała na spacery miejsce koło ruin zamku, przychodzili tu także chłopcy. Wierzyli, że kręcąc się po zamkowym dziedzińcu czy po pustych komnatach, wcześniej czy później natrafią na coś, co będą mogli nazwać skarbem. To przekonanie malowało się na ich ogorzałych od letniego słońca buziakach, odbijało w rozbieganych oczach.

Do takich chłopców należał Paweł, kolega z klasy. Podszedł do dziewczynki i stanął przed nią. Właściwie to nie stał, a podskakiwał. Odbijał się z lewej nogi. Wyraz twarzy zdradzał zaciętość poszukiwacza, a z oczu biła nadzieja, że te szkolne wakacje będą wyjątkowe.

— Znów tu jesteś — wyraził niezadowolenie, jakby przeszkadzała mu w odkryciu skarbu albo była świadkiem kolejnej klęski niestrudzonego szperacza.

Mówiąc, starał się jak najwyżej podskakiwać.

— Idź, idź i szukaj — odparła głosem lekceważenia dla jego zajęcia.

Nie lubiła go. I to nie tylko dlatego, że w jasełkach grał złośliwego diabełka. On taki był na co dzień. Zawsze znajdował dość powodów, by dokuczyć dziewczynkom, tylko dlatego że nie są chłopakami. Był od Wioli kilka centymetrów niższy, ale gdy mówił, to podskakiwał, dzięki czemu co kilka sekund górował nad nią. Niestety owe zabiegi nie pozostawały bez wpływu na formę wypowiedzi. Głos jego załamywał się, sprawiał wrażenie jąkania. Dlatego nieraz trudno było go zrozumieć.

— A ty siedź, siedź, jak taka kura na grzędzie!

— Co mówisz? — Spytała skaczącego nieprzyjaciela dziewcząt, nastroszonego kogucika.

Zaczął skakać jeszcze wyżej, a podskakując powtarzał:

— Znów tu jesteś... Znów tu jesteś... Znów tu jesteś...

Któraś z tych wypowiedzi skoczka dotarła wreszcie do świadomości Wioli.

— Jestem, no i co z tego? — Spytała spokojnie. — Jestem i będę tu zawsze, ile razy zechcę być.

Nie próbował znaleźć właściwej odpowiedzi, wykrzyknął coś niezrozumiale, co najprawdopodobniej powinno obrazić dziewczynkę i skacząc, pognął w stronę czekającego na odkrycie skarbu zamku.

Ledwo znikł jej z oczu, a zaraz pojawił się Radek. Śledził kolegę. Skradał się za nim, biegał od drzewa do drzewa, aby ukryć przed nim swoją obecność. Kiedyś podczas przerwy między lekcjami Paweł przechwalał się, że jest bliski odkrycia skarbu. Radek, młodszy od niego o rok, uwierzył zapewnieniom i nie zamierzał przegapić momentu znalezienia łupów ukrytych w przygranicznym zamku.

Bał się odezwać, by tamten go nie usłyszał, więc na migi prosił, by Wiola nie zdradziła jego obecności. Uspokoiła go podobnymi gestami. Podziękował skinieniem głowy i — zgarbiony, niewiele większy od zająca — pokicał śladem Pawła.

Wrócił po dłuższej chwili. Już nie bał się mówić.

— Nigdzie go nie ma — poinformował.

Wiola nie wierzyła.

— Przecież nie zapadł się pod ziemię!

— A jeżeli tak? — Zastanawiał się Radek. — Słyszałem o głębokich lochach pod zamkiem.

Nie minęło piętnaście minut, wybijanych przez zegar na kościelnej wieży, gdy z ruin zamku wyszedł niestrudzony szperacz.

— Nie wyobrażacie sobie, gdzie byłem.

Nawet nie próbowali. To zachęciło go do mówienia.

— Co ja widziałem! Nie macie pojęcia — bełkotał w przerwach między podskokami.

Zgodzili się z nim. Przecież trudno wyobrazić sobie, gdzie był, a jeszcze trudniej mieć jakieś pojęcie, co mógł zobaczyć.

A on nabrał w płuca powietrza, aby przygotować się na dłuższą opowieść. Widocznie płuca nie miały zbyt wielkiej pojemności, bo opowieść okazała się nie tak długa, jakiej oczekiwano.

— Zszedłem do podziemi. — Podskakiwał dłużej i wyżej niż zwykle. — A tam skarb!

Skończył, a Wiola wciąż patrzyła na jego usta w oczekiwaniu na więcej wiadomości. Nie doczekała się. Spoglądał na Wiołę i Radka z wyraźną niechęcią.

— Nie wierzycie mi, no to nie! — I podskoczył ponad ich głowy.

— Zaprowadź nas tam ! — Błagał Radek.

Paweł prychnął pogardliwie.

— Miałbym dzielić się z wami skarbem?! — Obrócił się na pięcie. — Nie opowiadajcie o tym nikomu, to może wam coś ze skarbu pokazać. — Obiecał skoczek.

Znad rzeki powracał Maciek.

Wiola podbiegła do niego.

— Wiem coś, wiem coś! — Szczebotała, drepcząc koło chłopca.

— Tak? I chcesz mi to powiedzieć?

— Bardzo.

— Czekam.

— Paweł prosił, by o tym nie rozpowiadać. Ale tobie mogę powiedzieć, bo wiem, że nikomu więcej nie powtórzysz, prawdaaa?

— Mam milczeć, to będę — zapewnił.

Chwyliła Maćka za rękę.

— Paweł znalazł w ruinach skarb — wysapała.

— Najwyższy czas, by go ktoś w końcu od... krył — odparł spokojnie Maciek.

Zdziwiła się, że wiadomość o znalezisku nie zaskoczyła go.

— Ale dlaczego właśnie on? — Zastanawiała się głośno.

— Bo go szu... kał.

— Taki łobuz! I wiesz? On nie chce go nam pokazać!

— Nic dziwnego, bo są skarby, których się nie pokazuje — stwierdził Maciek, prowadząc Humorka z sztywno siedzącą na nim dziewczynką.

— To dotyczy wszystkich zamkowych skarbów? — Próbowała się upewnić Wiola.

— Nie, tylko tych.

— Jakich? — Dziewczynka nie przestawała dociekać prawdy.

— Kiedyś sama znajdziesz odpowiedź na pytanie, o czym nie warto rozmawiać z innymi, a co trzeba zachować dla siebie... bie. Tylko dla siebie.

Bardzo ufała Maćkowi, więc postanowiła cierpliwie czekać, kiedy też będzie miała coś do ukrycia.